

# Polin, my i tamci

15 listopada 2014

Otwarte dwa tygodnie temu Muzeum Historii Żydów Polskich przyjęło nazwę Polin. Jest to nawiązanie do legendy, według której żydowscy uciekinierzy z krajów nienawistnej wobec nich Europy odnajdywali spokój i odpoczynek w tolerancyjnej Polsce. Sama jej nazwa była dla nich dobrą wróżbą, przywołując na myśl hebrajskie po lin – „tu odpocznij”. Również tytuł jednej z ekspozycji, Paradisus Iudaeorum, czyli „żydowski raj”, zaczerpnięty, nota bene, z XVI-wiecznego anonimowego antyżydowskiego pamfletu, mimo że można się w nim dopatrzyć ironii, wzmacnia przekaz, jaki tkwi w nazwie największej instytucji zajmującej się upamiętnianiem dziejów polskich Żydów. Przekaz sugerujący, że dawna Rzeczpospolita chętnie i bezinteresownie przyjmowała uciekinierów z Europy ogarniętej antyżydowskimi prześladowaniami, stworzyła Żydom znakomite warunki do rozwoju ich kultury, a Polacy dzięki swej przyrodzonej tolerancji żyli z przybyszami w zgodzie i harmonii.

Opowieść o Polsce jako kraju, który udziela schronienia prześladowanym w świecie i obłożonym powszechną anatemą obcym – z powodów albo czysto etycznych (polska przyrodzona gościnność, tolerancja, współczucie), albo sentymentalnych (ponoć już Kazimierz Wielki w ramionach Esterki rozczulił się nad jej rodakami wypędzanymi z innych europejskich krajów) – jest dla nas krzepiąca i okazuje się wciąż bardzo żywotna. Sądzę zresztą, że paradoksalnie zyskuje ona na żywotności, gdy pojawiają się kolejne publikacje przypominające o polskim antysemityzmie, polskich postawach wobec zagłady Żydów czy wręcz o polskiej współodpowiedzialności za Zagładę. Atrakcyjność tej opowieści jest tak wielka, że powtarzają ją i wzmacniają nawet – a może i zwłaszcza – te środowiska, które głoszą potrzebę postrzegania historii bez sentymentów i złudzeń, jako gry interesów.

Mogłoby się здаć, że legenda „żydowskiego raj” musi posiadać sentymentalny lub humanitarny element. W czasie, w którym Rzeczpospolita miała być żydowskim rajem (czyli, według tak zatytułowanej ekspozycji muzealnej, w latach 1569-1648), Żydzi faktycznie przybywali do Rzeczypospolitej szerokim strumieniem, osadzani byli w kolejnych miastach i miasteczkach oraz zaopatrywani w kolejne przywileje. W istocie jednak nie działało się to ani z humanitarnych, ani z sentymentalnych względów. Stali się oni elementem rozgrywki polskiej, litewskiej i ruskiej magnaterii z rodzimym mieszczaństwem, dochodzącym u schyłku średniowiecza – podobnie zresztą jak w krajach zachodnich – do znacznej zamożności i w związku z tym domagającym się także przywilejów politycznych.

Żydzi sprowadzani byli do Polski przede wszystkim po to, by w prowadzeniu interesów magnaterii i ziemiaństwa zastąpić chrześcijańskich pośredników. Akceptacja ich religijnej i kulturowej odmienności nie wymagała od nadających im przywileje patronów ani tolerancji, ani humanitaryzmu, bo Żydzi byli do Polski sprowadzani nie mimo odmienności, lecz ze względu na nią. I także nie mimo, lecz ze względu na istniejącą w całym chrześcijańskim świecie nienawiść do „zabójców Jezusa”, i ze względu na klątwę, którą według wciąż powtarzanego chrześcijańskiego przekazu, sami na siebie nałożyli pod oknem Poncjusza Piłata. Nowa klasa obsługująca szlacheckie interesy miała być właśnie powszechnie znienawidzona, obca, ale także świadoma własnej obcości, czyhającej na nią zewsząd nieufności i nienawiści. W swoim „raju” Żydzi otrzymali pewną kulturalną i religijną autonomię, przyzwolenie na odmienność oraz warunki do rozwoju swojej kultury. To, co Żydzi mogli postrzegać jako zdobycz, gwarantowało jednak zarazem szlacheckim patronom żydowską niezdolność do emancypacji i samodzielności, niemożność wchodzenia w jakiekolwiek alianse z klasami niższymi, a nawet – gdyby zaszła taka potrzeba – łatwe przejęcie kontroli nad żydowskimi kapitałami. Wciąż rozbudzana na nowo nienawiść do Żydów, wzmocniona dodatkowo przez zrozumiałą zawiść niższych

klas, pozwalała nieprzywykłej do samodzielnego oszczędzania szlachcie trzymać w szachu dysponentów jej majątków.

Wszystko to razem sprawiało, że Żydzi nie mogli żyć bez magnackiej i szlacheckiej protekcji (będącej jednocześnie opresją), którą postrzegali jako dobrodziejstwo. Żydzi, zastępujący w Polsce klasę mieszczańską, protokapitalistyczną, inaczej niż mieszczenie zachodni, nie mieli zdolności wchodzenia w taktyczne sojusze z klasami najniższymi, nawet wtedy, gdy mieli z nimi wspólne interesy. Nie dążyli – tak jak zachodnie klasy średnie – do własnej emancypacji i w końcu supremacji, możliwej dzięki obracaniu kapitałami i innowacyjności, zadowalając się w miarę wygodną pozycją kasty względnie uprzywilejowanej i względnie upośledzonej zarazem. Mieli przy tym poczucie ciągłej niezbędności zbrojnej szlacheckiej ochrony przed masami, które postrzegali jako ze swej istoty złe, nienawistne, nieobliczalne i irracjonalne. Jakże mechanizmy stały często za tymi antagonizmami, pokazuje dobrze przykład przytaczany przez Heinricha Graetza w jego „Historii Żydów”: żydowscy zarządcy ukraińskich latyfundiów pobierali podatki na rzecz magnatów, także od chrzcin i ślubów; przechowywali więc klucze od cerkwi, które wydawali duchownym dopiero po uiszczeniu danin. Z chłopskiej perspektywy wyglądało to tak, że Żydzi z chciwości i nienawiści do prawdziwej wiary przeszkadzają chrześcijanom w przyjmowaniu sakramentów. Jedynym przejawem ludowej emancypacji, jaki Żydzi znali z doświadczenia i potrafili sobie wyobrazić, był pogrom, powstanie kozackie lub chłopska ruchawka i dlatego utrzymywanie chłopów w stanie upokorzenia i podległości mogli postrzegać jako służące obronie elementarnego porządku.

Takiemu postrzeganiu mas przez Żydów towarzyszył polski szlachecki filosemityzm – protekcjonalny i sentymentalny, oparty z jednej strony na przekonaniu o wielkim dobrodziejstwie uczynionym Żydom (lubimy tych, którzy nam coś zawdzięczają) właśnie przez humanitarne i tolerancyjne

przyzwolenie na ich przebywanie w Rzeczypospolitej i zachowanie własnej odmienności, przez ciągłą ich ochronę przed nienawistną chłopską masą (konsekwentnie z kolei szczutą na Żydów i utrzymywaną w przekonaniu o tym, że to ci ostatni są przyczyną wszelkich jej cierpień), a z drugiej na oczekiwaniu lojalności i wdzięczności za protekcję. Zresztą Żydzi wcale nie musieli być ostatecznym przedmiotem szlacheckiego protekcyjnego filosemityzmu – także i w tym wymiarze pełnili oni poniekąd funkcję mediatora w relacjach szlachecko-chłopskich. Życzliwy, tolerancyjny (a więc pełen cierpliwości), wyrozumiały stosunek do tak wyrazistego Innego miał odróżniać istotę oświeconą i szlachetną od ciemnej i podłej, zawistnej, niezdolnej do życzliwości i wyrozumiałości – i w ten sposób stawał się kolejnym uzasadnieniem szlacheckiej pogardy.

Dziś, jak sądzę, legenda Polin, miejsca odpoczynku wiecznych tułaczy oraz żydowskiego raju, odbija się Polakom czkawką. Bywa bowiem nadzwyczaj chętnie wykorzystywana do negowania wszelkich polskich win wobec Żydów, wykazywania żydowskiej niewdzięczności i perfidii. Nie wiem, czy kierownictwo MHŻP wzięło pod uwagę to, że przed internautą poszukującym informacji o ekspozycji i wpisującym w wyszukiwarkę słowo „Polin” otworzy się nieprzebrane bogactwo antysemickich treści.

Oczywiście legenda żydowskiego raju ożywia nie tylko polski antysemityzm, ale i filosemityzm, jednak ten drugi miewa w Polsce, pewnie jeszcze od sarmackich czasów, swoją pokrętną logikę. Właśnie dziś, kiedy ukazuje się coraz więcej wiarygodnych źródeł i opracowań dotyczących polskiego przedwojennego antysemityzmu, postaw przyjmowanych podczas okupacji oraz udziału Polaków w mordowaniu Żydów w trakcie i po wojnie, w wielu inteligenckich środowiskach dają się zauważyć dość dwuznaczne reakcje. Kolejne świadectwa i opracowania mówiące o zbrodniach dokonanych przez Polaków na Żydach witane są już nie z przerażeniem, nie ze – zrozumiałą

poniekąd – potrzebą negacji, ale niemal z entuzjazmem. Mówi się o takich wypadkach z wyczuwalną satysfakcją, jednocześnie łatwo wskazując winnych: albo polskich chłopów, albo małomiasteczkowe społeczności, albo wielkomiejską lumpериę – w każdym razie jakąś ciemną masę, ogłupiałą od kościelnej propagandy lub chciwą żydowskich pierścionków i mebli.

To radosne wskazywanie winnych pozwala entuzjastom dość łatwo, i właśnie w bardzo polski sposób, z jednej strony szlachetnie przyznać się do „narodowej przewiny”, ale z drugiej pozostać zupełnie czystym i niewinnym. Przecież przyznajemy się, że zbrodni dokonaliśmy my, Polacy, ale przecież nie my – subtelni inteligenci, nie my – kosmopolityczne wolne duchy, tylko tamci: ciemni i chciwi, nienawistni z samej swojej istoty – fundamentalnie inni niż my. My – to ci, którzy zaprosili Żydów do Polin; zawsze chcieliśmy tworzyć takie czy inne Polin, miejsce odpoczynku dla prześladowanych i ziemską emanację naszej szlachetności. To tylko tamci – jak to zwykle bywa, gdy się im na to pozwoli – pokazali, kim są naprawdę, okazała się cała ich podłość. W tych ekspiacjach z dudniącym biciem się w piersi tamtych, ponownie Żydzi, a właściwie ich prochy, spełniają funkcję pożytecznej karty przetargowej w rozgrywce z „tamtymi”.

Nie, nie chcę tu powiedzieć, że nie powinniśmy bić się w piersi. Bijmy się w piersi wszyscy, ale skoro nie potrafimy wspólnie, to każdy w swoje własne. Bijmy się w piersi pamiętając o tym, że polski udział w zagładzie Żydów jest w pewnej, dość istotnej części efektem tych samych procesów, które zapewniły polskim oświeconym elitom, tak chętnie dziś pokazującym palcem winnego, uprzywilejowaną pozycję, z której – w większym stopniu niż tamci z zagrabionych przed laty żydowskich pierzyn – korzystają i dziś.

Autor: Jarosław Górski

Źródło: [Nowy Obywatel](#)

**0 AUTORZE**

Jarosław Górski (ur. 1970) – polonista, nauczyciel i dziennikarz. Napisał kilkaset artykułów publicystycznych i popularyzujących różne dziedziny sztuki, wydał książkę eseistyczną „Męska rzecz” (o literackich obrazach męskości) oraz powieść obyczajową „Wersje”. Mieszka w Warszawie. Stały współpracownik „Nowego Obywatela”.